Pieśni Świętego Maksymiliana

Kazimierz Braun *(Buffalo)*

28 maja 2021 roku minęło 80 lat od uwięzienia w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz ojca Maksymiliana Kolbe, gwardiana Niepokalanowa – franciszkańskiego klasztoru i wielkiego domu wydawniczego. Z tej okazji w Wydawnictwie Franciszkanów Bratni Zew w Krakowie został wydany tom poezji Kazimierza Brauna pt. „Pieśni świętego Maksymiliana i inne wiersze”.

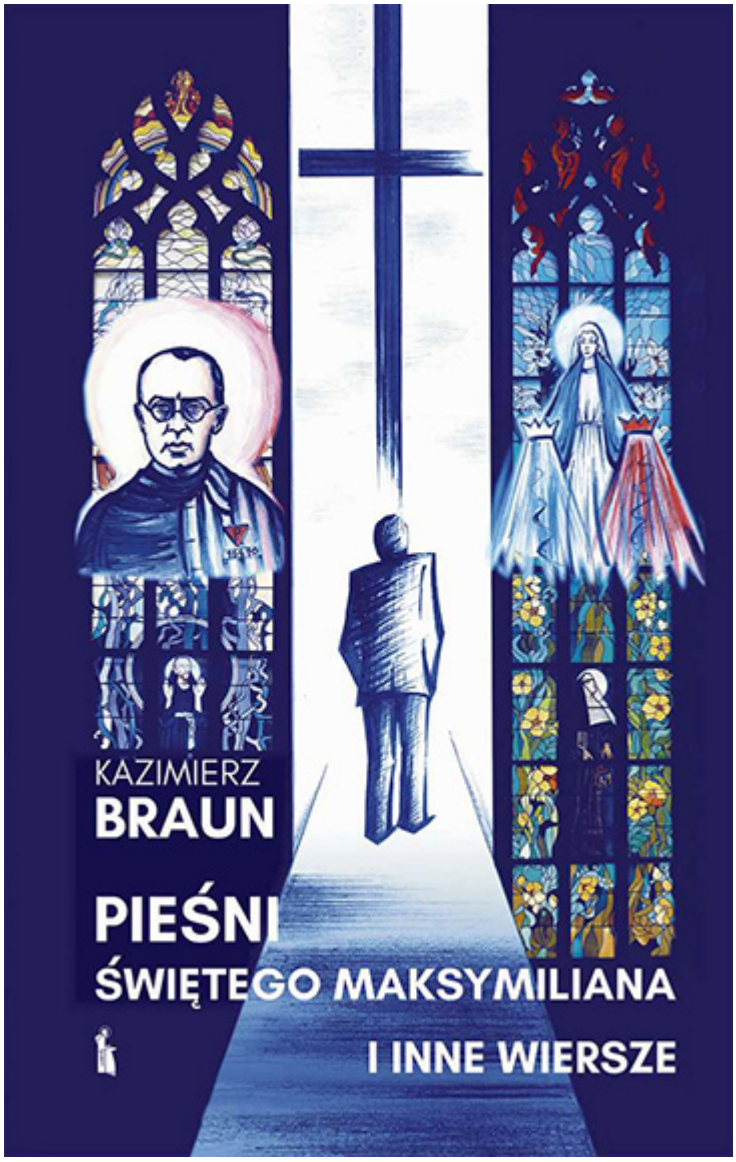

*

RZYM

Rzym – Wieczne miasto – Stolica Piotrowa.

Tu młody Rajmund przyjechał studiować.

*

Skoro Matuchna tak chce – to przeznaczę

Każdą sekundę modlitewnej pracy.

*

Dwa doktoraty – z filozofii – zdany.

Toż z teologii – mnich wiedzy zachłanny.

*

Do tego studia, aby księdzem zostać.

Gruźlica dławi. Nie poddam się, sprostam.

*

Horyzont pęka, głębia nie przestrasza,

Kosmos porywa – tam Matuchna nasza.

*

Immacolata! Dla Niepokalanej

Zastęp Rycerzy do apelu stanie.

*

Podejmie walkę o grzeszników dusze.

Do uświęcenia wszystkich dążyć muszę.

*

Różaniec bronią, a zbroją medalik

Cudowny – lepszy od najtrwadszej stali.

*

We wszystkich sprawach, tam się uciekamy.

Pod jej opiekę. Ją za Matkę mamy.

*

Korona biała, korona czerwona.

Trzymaj mnie, Matko, proszę, w swych ramionach.

*

NIEPOKALANÓW

Niepokalanów – wieś, gród, metropolis,

Rośnie, pięknieje dzieło Marii woli.

*

Gdy patrzeć z nieba – strzechy, laski, piaski,

Gdy dookoła – to fabryka prasy.

*

Mamy kaplicę, szpital, jest i straż pożarna,

Zecernia i drukarnia, młynów Słowa żarna.

*

Gdy wejrzeć w serca drukarzy – oddanie

Marii, pracy, modlitwie – zwykli franciszkanie.

*

Gdy ich wezwałaś – wnet zastępy stały.

Gdy ich roześlesz – pobiją świat cały.

*

Wyrzutnia rakiet modlitwy do nieba –

Ludziom tak słowa, jak chleba potrzeba.

*

Bijemy prasę, książki, katechizmy.

Dziś radio, jutro będzie telewizja.

*

Kolportaż bucha jak wielkie ognisko –

Wagony, ciężarówki, już jutro lotnisko.

*

> Niepokalana pracę błogosławi.
>
> Wskazuje drogę jak mnich ma się zbawić.
>
> *
>
> Korona biała, korona czerwona.
>
> Trzymaj mnie, Matko, proszę, w swych ramionach.



Pomnik św. Maksymiliana Kolbe w Niepokalanowie, fot. wikimedia commons

*

NAGASAKI

Uratuj, Matko, przed Ciemnego siecią,

daj siłę, Matko, rycerzom, swym dzieciom.

*

Nad górą Hiko jasna wstaje zorza.

Jaśnieje jaśniej od zórz Matka Boża.

*

Znowu, jak kiedyś, trzyma dwie korony

– Co niesiesz Matko? – pyta mnich zdumiony.

*

– Korona biała – czystość. A czerwona

Męczeństwo znaczy. Wyboru dokonaj.

*

– Już dokonałem… – Tak. Wybrałeś obie,

już ich pragnąłeś. Białą nosisz godnie.

*

Czerwoną zyskasz, gdy ja wskażę porę.

A potem niebo. Godzinę wybiorę.

*

– O, chcę ich obu. Kieruj Matko Boża

twym sługą w Polsce, w Japonii, na morzach.

*

Korona biała, korona czerwona.

Trzymaj mnie, Matko, stale w swych ramionach.

*

AUSCHWITZ

Trzask drzwi wagonu. Jak startera wystrzał.

Ostatni wyścig. I meta już bliska.

*

Więc to tu, Matko? Tutaj ta czerwona

korona czeka? Matczyne ramiona?

*

Szłaś ze mną. Napis: „Arbeit macht frei”, a wyżej

niebo majowe. Wszyscy nieśli krzyże.

*

Kij. Bicz. Cios. Kopniak oprawcy – biednego

brata. Co czyni – nie wie. Zdrowaś też za niego.

*

> Inny brat jęczy. Rozpacz w jego głosie.
>
> Daj mi krzyż, bracie, za ciebie poniosę.
>
> *
>
> Ten obóz śmierci – komnata królewska.
>
> Prycza, smród, zaduch. To Ty tutaj mieszkasz?
>
> *
>
> Korona biała, korona czerwona.
>
> Trzymaj mnie, Matko, mocno w swych w ramionach.

Zobacz też:

> Święty Maksymilian Kolbe – towarzysz teatralnej i poetyckiej podróży

Święty Maksymilian Kolbe – towarzysz teatralnej i poetyckiej podróży

Z prof. Kazimierzem Braunem rozmawia – ks. prof. dr hab. Piotr Tomasik

28 maja 2021 roku minęło 80 lat od uwięzienia w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz ojca Maksymiliana Kolbe, gwardiana Niepokalanowa – franciszkańskiego klasztoru i wielkiego domu wydawniczego. Z tej okazji w Wydawnictwie Franciszkanów Bratni Zew w Krakowie został wydany tom poezji Kazimierza Brauna pt. „Pieśni świętego Maksymiliana i inne wiersze”.



Ojciec Maksymilina Kolbe, fot. Dennis Jarvis, Halifax, Kanada, wikimedia commons

Benedykt XVI w 2010 roku, w trakcie audiencji generalnej powiedział tak: „Każdy z nas ma w swoim życiu drogie osoby, które są nam szczególnie bliskie; niektóre z nich są już w domu Ojca, inne idą jeszcze z nami drogą życia: to nasi rodzice, krewni, wychowawcy, osoby, którym wyświadczyliśmy dobro, lub które nam wyświadczyły dobro; wiemy, że na te osoby możemy liczyć. Jednakże ważne jest również, byśmy mieli „towarzyszy podróży" na drodze naszego życia chrześcijańskiego. Mam tu na myśli kierownika duchowego, spowiednika, osoby, z którymi można dzielić doświadczenie wiary, ale myślę także o

Dziewicy Maryi i o świętych. Każdy powinien wybrać sobie ulubionego świętego, który będzie mu szczególnie bliski, w modlitwie i wstawiennictwie, a także, którego będzie naśladował". Czy Pańskim towarzyszem podróży jest święty Maksymilian Maria Kolbe, skoro napisał Pan o nim sztukę teatralną, a ten tom zatytułował na jego cześć? Na podstawie jakich źródeł zdobywał Pan wiedzę na temat tego Świętego?

To jedna z najpiękniejszych przygód mojego życia, a także długa, wyboista droga. Oczywiście, od dzieciństwa wiedziałem, że był taki zakonnik, który w Auschwitz poszedł na śmierć zamiast innego więźnia. Wiedziałem, że w 1971 r. został on beatyfikowany. I tak się złożyło, że na jesieni 1981 roku byłem w Japonii. Korzystając z Nagrody Fundacji Japońskiej mogłem ułożyć sobie plan podróży po tym kraju. Wytyczając go poprosiłem, abym mógł znaleźć się Nagasaki i odwiedzić klasztor, który wybudował tam o. Maksymilian Kolbe. Byłem tam. Chodziłem po korytarzach i ścieżkach wydeptanych przez niego. Poznałem brata Sergiusza, jednego z uczniów i współpracowników ówczesnego gwardiana, który hojnie obdarzył mnie swym czasem i opowiadaniami, oprowadził mnie po japońskim Niepokalanowie – Mugenzai no Sono: kościół, klasztor, szkoła, kapliczka Niepokalanej na górze Hiko. Brat Sergiusz dał mi też wiele materiałów. Zacząłem się nosić z myślą pisania o ojcu Maksymilianie. Zaraz po moim powrocie do kraju

generał Jaruzelski ogłosił stan wojenny. Chwila dziejowa narzuciła inne tematy, prace, działania.

Ale tak się znów złożyło, że w końcu września 1982 roku byłem z moim Teatrem Współczesnym w Irlandii, gdzie graliśmy „Annę Livię" według Jamesa Joyce'a, na festiwalu z okazji stulecia jego urodzin. I tam, w Irlandzkim Teatrze Narodowym, The Abbey Theatre, ku mojemu zdziwieniu, była na afiszu sztuka pod tytułem „Kolbe". Poszedłem na nią. Autorem był ksiądz-poeta Desmond Forristal. Dramat był epicką opowieścią o męczeństwie i śmierci o. Maksymiliana Kolbe w piekle Auschwitz. Teatr zbudował w oparciu o ten utwór wielką inscenizację z bardzo liczną obsadą. Widowisko o polskim świętym w Dublinie ogromnie mnie wzruszyło, choć sama sztuka nie bardzo przekonała. Zamówiłem jednak jej tłumaczenie u Krzysztofa Romanowskiego, filmowca pracującego w Dublinie.

Kanonizacja Maksymiliana Kolbe, dokonana przez Papieża Jana Pawła II 10 października 1982 roku była mocnym strumieniem światła w ciemnościach stanu wojennego. Takie wyraziste przypomnienie niezłomnego Polaka, było ważnym posłaniem dla wszystkich rodaków (stan wojenny był już formalnie zniesiony, ale trwał totalitarny, represyjny system). Dla mnie był to kolejny impuls, w pewien sposób kierujący w stronę Maksymiliana, już wtedy świętego. Pojechałem do Niepokalanowa prosić go o opiekę w pisaniu o nim. Opublikowałem na jego temat dwa

artykuły. Stały się one rozdziałami w książce „Nadmiar teatru” (Czytelnik, 1984). Otrzymałem od Romanowskiego tłumaczenie tej irlandzkiej sztuki, „Kolbe”. Jej horyzont przy uważnej lekturze wydał mi się jakoś zbyt wąski wobec rozległości tych horyzontów, które święty obejmował i otwierał. Nie zdecydowałem się na realizację. A przy tym sam uświadomiłem sobie, że jeszcze za mało wiem o świętym Maksymilianie. Sprawa została odłożona.

Potem porwał mnie wir wydarzeń całkowicie odmieniających moje życie i pracę, a także życie mojej rodziny: wyrzucenie z teatru, jako kara reżimu komunistycznego, za działalność opozycyjną (1985); propozycja pracy w USA przysłana przez solidaryzujących się ze mną amerykańskich kolegów; kolejne odmowy wydania mi paszportu i otrzymanie go po kolejnych odwołaniach; wyjazd do USA (1985); praca na amerykańskich uniwersytetach i w amerykańskich teatrach; przyjazd żony Zofii i dwójki dzieci, Grzegorza i Justyny, także po odmowie paszportów i kolejnych odwołaniach (nasza najstarsza, Monika, miała już swoje życie w Polsce). Potem – próby powrotu do kraju. Nieudane (to już zupełnie inna historia). Osiadłem w Ameryce.

Właściwie nieco przypadkowa wymiana listów elektronicznych z ojcem doktorem Piotrem Cuberem na temat św. Maksymiliana nakazała mi do niego wrócić. Z o. Piotrem znaliśmy się od czasu jego pobytu i pracy we franciszkańskiej rozgłośni radiowej

„Godzina Różańcowa” w Buffalo w 2001 r. Pozostaliśmy w kontakcie. Przesyłaliśmy sobie życzenia świąteczne. W 2009 roku życzliwie i miło zachęcił mnie do podjęcia próby napisania dramatu o świętym, aby przypomnieć go dwa lata później, na 70. rocznicę jego śmierci. W wyniku zachęty o. Piotra i dzięki zaproszeniu Krakowskiej Prowincji Ojców Franciszkanów Konwentualnych, znalazłem się na cały miesiąc w klasztorze w Harmężach pod Oświęcimiem. Mogłem wejść w rytm franciszkańskiego życia i modlitwy, odbyć wiele ciekawych, inspirujących rozmów i odwiedzić wiele miejsc, w których święty zostawił swoje ślady – przede wszystkim w obozie Auschwitz, a także w Krakowie, Kalwarii Pacławskiej, Sanoku i, oczywiście, w Niepokalanowie. Mogłem medytować tam gdzie czynił to święty.

Otrzymałem wiele informacji, wiele książek. To wszystko pozwoliło mi podjąć ponownie próbę stworzenia dramatu o św. Maksymilianie. Powstał „Maximilianus”, a potem jeszcze monodram „Cela ojca Maksymiliana” i dramat „Mój syn, Maksymilian”. Wszystkie zostały wydane przez Wydawnictwo Franciszkańskie Bratni Zew w 2010 roku. Z kolei w 2011 r. wyreżyserowałem w tarnowskim Teatrze im. L. Solskiego „Celę ojca Maksymiliana”. Sztuka ta została także wystawiona po angielsku w amerykańskim Buffalo. We wszystkich tych sztukach epilogiem jest „Męka świętego Maksymiliana”, która może też funkcjonować samodzielnie. Była ona odczytywana przez trzech lektorów – tak jak czyta się Mękę Jezusa Chrystusa w Wielkim

Tygodniu – w kościołach na terenie Polski, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych. Pragnąłem nadal uczyć się od świętego, być jakoś blisko niego. Z tego pragnienia powstały otwierające ten tom – „Pieśni świętego Maksymiliana”. I tak jak ksiądz mówi – stał się on moim „towarzyszem podróży” w ostatnich latach. Jego „Regulamin życia” jest zarówno drogowskazem, jak też przypomnieniem, jak wiele mi brakuje do sprostania jego wymaganiom.



Ojciec Maksymilian Kolbe, 1936 r., fot. wikimedia commons

W części tomu, zatytułowanej „Naśladowania”, umieścił Pan kilka wierszy o różnych świętych. Jakie było kryterium doboru?

To były refleksje po lekturach pism różnych świętych. Każda z tych lektur zawierała ogromne bogactwo myśli, wskazań, porad duchowych. Starałem się znaleźć krótką formę poetycką, niejako podsumowującą, która by te lektury, a także historie życia tych świętych, otwierała dla mnie samego i dla innych – dla czytelników.

Wśród świętych, do których zbliżamy się przez Pańskie wiersze, jest także Augustyn. W szczególnym kontekście – teatru. Jest Pan reżyserem, teatrologiem, a pisze Pan o Nim: „Od chwili nawrócenia / odwróciłeś się od teatru / zerwałeś ze zgubnym nałogiem teatromanii”. Dlaczego tak? Pytam o to, bo dziś wielu ludzi w Polsce unika teatru, zwłaszcza boją się tam prowadzić swoje dzieci ze względu na obsceniczność i bezbożność spektakli. Jaki zatem powinien być teatr?

To pytanie – „jaki powinien być teatr?” – zadawałem sobie od czasu, kiedy zacząłem ku niemu zmierzać. Towarzyszyło mi przez wszystkie lata mojej praktycznej pracy w teatrze. „Teatr ile wiemy, jest atrium spraw niebieskich” – te słowa Cypriana Norwida przeczytałem i zapamiętałem, jeszcze przed podjęciem

studiów reżyserii. Była to wizja teatru, który poprzez to, co na scenie widać, co ze sceny słychać, poprzez całą materię i maszynerię widowiska – daje wgląd w niebo. Szczególny impuls nakierowujący do takiego pojmowania i uprawiania teatru otrzymałem już jako student reżyserii od – wtedy – księdza biskupa, profesora KUL-u, Karola Wojtyły i mentora grupy „Święta Lipka" do której należałem. Gdy znalazłem się zimą 1960 roku w Krakowie, upoważniło mnie to do prośby o rozmowę z „Wujem", jak go nazywaliśmy. Miałem z nim dwa bardzo ważne dla mnie wieczorne, przeciągające się w noc, spotkania. Na koniec pierwszego polecił mi napisać referat o moralnych problemach, z jakimi konfrontuje się reżyser w pracy teatralnej. W czasie drugiego omówił ze mną, po profesorsku, złożony mu referat. Potem odłożył na bok maszynopis i zadał mi kilka pytań, zaznaczając, że nie oczekuje ode mnie w tej chwili odpowiedzi, a raczej, prosi, abym te jego pytania przemyślał. A były to pytania podstawowe dla człowieka teatru: „Jak będziesz łączył wiarę ze sztuką w swej teatralnej robocie? Jak połączysz dążenie do najwyższych wartości estetycznych i znajdowanie dla nich wyrazu w przedstawieniach z dążeniem do przekazywania najważniejszych wartości etycznych, tych, które wynikają z twojej wiary? Jak będziesz łączył w twórczości teatralnej cielesność i seksualność aktorów oraz granych przez nich postaci, z ich duchowością? Jak będziesz prowadził widzów ku krainie ducha przez materialność i zmysłowość teatru? I, rozważ, przygotuj się już teraz – co wybierzesz w chwili próby: karierę

czy sumienie? Świat czy Boga?”.

Biskup Wojtyła kierował mnie w ten sposób w rejony teatru całkowicie, wręcz radykalnie odmienne od tych, ku którym prowadziły mnie studia reżyserii; o których uczyłem się z książek i po których poruszałem się uczestnicząc w życiu teatralnym.

Gdy rozważałem jego nauczanie, zaczęło mi się ono stopniowo rymować z tymi rozdziałami historii, w których teatr starał się ewangelizować i prostą drogą prowadzić ludzi ku niebu – jak europejski teatr średniowieczny, hiszpański teatr renesansowy, teatr wpisany w dramaty Paula Claudela, misteryjne widowiska Jacques’a Copeau, a wreszcie Teatr Rapsodyczny Mieczysława Kotlarczyka, w którym Karol Wojtyła był aktorem i z którego wyruszył ku kapłaństwu.

Ta nocna rozmowa z nim ukazała mi teatr w nowym świetle. Zaostrzyła kontrast pomiędzy tym, co wtedy – a i wielokrotnie później, całymi latami – sam w teatrze robiłem, a tym teatrem, ku któremu warto było, i trzeba było, zmierzać. I to jest moja odpowiedź na pytanie Księdza. Teatr taki, jak go widział Norwid, taki jaki go uprawiał Wojtyła, winien ludzi prowadzić do Boga – zarówno tych, którzy teatr na co dzień tworzą, na więc ludzi teatru, jak i tych, do których on się zwraca, a więc widzów.



Święci męczennicy franciszkańscy – malowidło na ołtarzu polowym, znajdującym się obok bazyliki w Niepokalanowie., fot. wikimedia commons

Pytanie Księdza kieruje mnie ku refleksji na temat całej mojej, już tak długiej, drogi poprzez teatr. Od fascynacji do uświadomienia sobie jego wspaniałych, dobrych potencji, ale także do rozpoznania możliwości szerzenia przez teatr zła, czego mamy tyle dowodów dzisiaj. Wspomniał Ksiądz o tym: wulgarny, obsceniczny język, po prostu nieprzyzwoite obrazy i działania, nawet świętokradztwo. W ocenianiu teatru z moralnego punktu widzenia, w uświadomieniu sobie jak teatr może budować ludzką duchowość, a także ją degradować, dopomógł mi bardzo właśnie święty Augustyn. W swoich „Wyznaniach” opowiada on o swojej fascynacji teatrem i wyzwoleniu się z niej. Pisałem:

Bardzo mnie pociągały

widowiska teatralne

wyznaje święty Augustyn

Uczestniczyłem w grzesznych

radościach spektakli

oskarża się gorzko

Podziwiałem występnych

kochanków na scenie

bije się w piersi

Fikcja sceny dzieliła mnie

od prawdy Boga

wspomina gorzko.

Trzeba przypomnieć, że w jego czasie (II połowa IV oraz

pierwsze lata wieku V) teatr rzymski był już w stanie upadku, nastawiony właściwie wyłącznie na rozrywkę, wyuzdany, wulgarny, posługiwał się okrucieństwem. Ileż analogii z ogromnymi obszarami teatru współczesnego. Więc Augustyn odwrócił się od teatru. Ja nigdy nie chciałem teatru opuścić. Latami, mozolnie uczyłem się jak ukierunkowywać go ku dobru, dawać teatrem świadectwo swojej, acz tak słabej wiary, pomagać innym drogę wiary odnajdywać na bezdrożach współczesnej kultury. Codziennie powtarzam przy tym modlitwę Apostołów (Łk 17, 4): „Panie, przymnóż nam wiary". W zakończeniu tego wiersza napisałem:

> Święty Augustynie
>
> bywałeś w teatrze gościem
>
> mogłeś przestać teatr nawiedzać jak dom grzesznych schadzek
>
> ja byłem teatru domownikiem
>
> gdzież się wyprowadzić?
>
> A przy tym teatr to stary dom rodzinny

jak w domu Ojca jest w nim mieszkań wiele

nie trzeba go opuszczać niszczyć palić burzyć

może być świętym hospicjum choć bywał motelem

może dać dach nad głową tak wielu bezdomnym.

Święty Augustynie

za twoją przyczyną zrozumiałem zbyt późno

wierzę nie za późno

że nadal w nim mieszkając

muszę mój dom posprzątać

ubielić czysto ubrać tatarakiem

jak na Zielone Świątki

a samemu zdjąć czarną maskę Arlekina

jego kostium pstrokaty zamienić na białą

> szatę godową.

Dostojewski napisał: „Piękno zbawi świat”. Piękno jako droga dojścia do Boga. Tę kwestię podkreśla się dość mocno ostatnio w dokumentach katechetycznych Kościoła. Piękno, sztuka, poezja. Co by Pan poradził katechetom jako artysta?

Wracanie do źródeł. Nakierowywanie uwagi uczących się na tradycję. A gdyby tematyka kursu, czy zajęć obejmowała sztukę, to sugerowałbym podkreślenie opiekuńczej roli Kościoła nad sztuką – tu warto by przypomnieć architekturę i wszystkie sztuki piękne, z ogromną rolą witrażu w ewangelizacji; dalej: muzykę sakralną, literaturę religijną, a wreszcie i teatr, który po czterech wiekach nieobecności w kulturze Europy (wieki V-IX) odrodził się właśnie w Kościele. Najpierw jako widowisko wielkanocne, potem pasyjne. A pierwsze „Jasełka” przygotował nie kto inny tylko święty Franciszek w 1223 roku. Przymierze religii i sztuki, wiary i teatru, w porywający sposób manifestowało się w widowiskach „Księcia Niezłomnego”, granych w plenerze dla tysięcy przez Juliusza Osterwę. Umacniało prace „teatru kościelnego” tworzonego poza cenzurą w czasach stanu wojennego.

Kilkanaście lat temu pisałem podręczniki do religii dla

gimnazjum. Umieściłem w nich kilka Pańskich wierszy, m. in. „Szymona Cyrenejczyka” oraz „Rozważania w Nazarecie”, „Według Ignacego z Loyoli”. Były czytane przez młodych ludzi, skłaniały do refleksji. Myślę, że wtajemniczały gimnazjalistów w to, czym jest historia zbawienia, Kościół. Który z innych wierszy proponowałby Pan młodzieży dzisiaj?

Młodym, ale już dorastającym, podsunąłbym mój nowy cykl, „Zamyślenia”, które niejako towarzyszą modlitwie brewiarzowej. Mogłyby może zachęcić do podjęcia takiej codziennej praktyki.

Wiele jeszcze tematów nasuwa ten tom Pana wierszy. Pozostawmy je czytelnikom. Dziękuję bardzo za rozmowę.

I ja dziękuję z całego serca. Bóg zapłać!

*

Wywiad ukazał się na stronie Polonia Christiana: https://pch24.pl/

Muzeum w Niepokalanowie, poświęcone o. Maksymilianowi, otwarte w 1998 r.


MUZEUM
ŚW. MAKSYMILIANA


HEROIZM... NIE JEST W SAMYCH BITWACH, ALE NA WSZYSTKICH POLACH ŻYCIA I NIEUSTANNIE...
„BĘDĘ WALCZYŁ DLA NIEJ"
LWÓW
1910 r. – 1911 r.
RZYM
1912 r. – 1919 r.



Fotografie z Muzeum w Niepokalanowie pochodzą z wikimedia commons

***

Zobacz też:

> Pieśni Świętego Maksymiliana

Wileńskie miniatury

Romuald Mieczkowski *(Wilno)*



Wilno, Zaułek Miłosierny, fot. Romuald Mieczkowski

Fura książek

To był wstrząsający widok. W odrapanym podwórzu od ulicy Ułańskiej, dokąd dostarczyłem szafę, kiedy w czasie okupacji zarobkowałem na życie przewozami, z rozwalonej biblioteki

koszar właśnie wyrzucono setki książek. Poniewierały się one w błocie, wiatr przewracał strony, unosił strzępy wyrwanych kartek. Przenikający listopadowy chłód sprawił, że przechodniów było niewielu, od czasu do czasu stuknęły podkute buty Niemców. Podniosłem jedną książkę. Potem drugą, trzecią, czwartą… Wybierałem najładniejsze, solidnie oprawione tomy, przeglądałem krótko i składałem do wozu; po chwili ładowałem je jak leci, bez spoglądania nawet na tytuły. Znieruchomiałem parokrotnie, kiedy doleciała mnie obca mowa, ale nikt nie zwracał uwagi na wychudłego i marnie ubranego młodzieńca. Książki przykryłem brudną płachtą i ruszyłem w stronę rogatek miejskich.

O zmierzchu szczęśliwie dowlokłem się do domu. Zatrzymałem konia koło obory, dosypałem obroku i zadowolony z siebie odrzuciłem płachtę – nikt u nas nie widział tylu książek. Kiedy zobaczył je ojciec, w milczeniu wysłuchał moich wyjaśnień, potem bez słowa zawrócił konia i wysypał książki za szopą. Długo nie mógł rozniecić ogniska, a gdy wreszcie zapłonęło ono, długo też ogień nie mógł strawić wilgotnych tomów.

Ściemniło się. Ojciec dorzucał wciąż chrustu i drwa, a potem pilnował, żeby wszystko dopaliło się do końca. Łzy kręciły mi się w oku, serce kołatało mocno. Pod kapotą miałem schowaną maleńką książeczkę. Jej tytuł odczytałem dopiero potem – był to „Latarnik” Henryka Sienkiewicza.

*

Fundament pod przyszły dom

Z przyjacielem mieliśmy zwyczaj zwiedzania zamkowych ruin, jakie można spotkać na naszej ziemi. Z każdej takiej wyprawy przywoziliśmy po starej cegle. Poniewierało się ich mnóstwo pod nogami. Dziesiątki takich cegieł, z kredą znaczonymi zapisami, zgromadziło się w mojej piwnicy. Syn mi zaproponował:

– Tato, a może z tych cegieł zbudujemy sobie dom, historyczny i mocny…

*

Reanimacyjne paradoksy

Nocą nastąpił kryzys. Lekarz dyżurny gdzieś przepadł, siostra nie była w stanie pomóc, więc pacjent rozpaczliwie błagał o wywołanie do szpitala …karetki pogotowia.

*

W poszukiwaniu pointy

Życie tak wartko płynie. W bezmiarze spraw miałkich i alkoholu

zatracamy talenty, w rozmowach długich i jałowych ulatują bezpowrotnie chwile. Jak zachować je dla rzeczy ważnych?

O tym właśnie bezskutecznie przy szklaneczce rozmawialiśmy aż trzy godziny grubo po północy…

Zobacz też:

> Staruszka z Zamkowej 42

> Dziadek Władysław

> Szkoła po sąsiedzku

> Objazdowe kino

Upojny klimat czerwca



Włodzimierz Tetmajer, Noc Świętojańska, 1904 r., Muzeum Okręgowe w Lesznie, fot. wikimedia commons

Włodzimierz Wójcik *(1932-2012)*

Czerwiec jest miesiącem, w którym obchodzi się urodziny

księdza Jana Twardowskiego. Urodził się 1 czerwca 1915 r. Jakie to wymowne, symboliczne; rocznica Jego urodzin przypada na Dzień Dziecka. Los Mu niejako wyznaczył wielką misję miłowania maluchów, opiekowania się zwłaszcza dzieciakami specjalnej troski. Niestety, nie ma Go pośród żywych, ale mamy nadzieję, że po tamtej stronie będzie mógł obchodzić swoje imieniny Jana, w pejzażu uformowanym przez umiłowanego przez niego też Jana, ale …Kochanowskiego. Autor *Pieśni świętojańskiej o Sobótce* tak właśnie witał przełom wiosny i lata symbolizowanym przez znak zodiaku wyznaczającym dni między 22 czerwca a 22 lipca:

> Gdy słońce Raka zagrzewa,
>
> A słowik więcej nie śpiewa,
>
> Sobótkę, jako czas niesie,
>
> Zapalono w Czarnym Lesie.

Miesiąc czerwiec kusił także poetę żyjącego ponad trzysta lat później. Leopold Staff pisał o nim w wierszu *Wczesne lato* (tom: *Dziewięć Muz*):

> Tak nagle przyszło pełne lato

> I zawróciło wszystkim głowy.
>
> I czar czerwcowy jak świat stary
>
> Zdaje się niebywale nowy.
>
> *
>
> Śpiewem zanoszą się słowiki,
>
> Bzu duszne wonie biją zewsząd
>
> I dziko wpada wiatr spragniony
>
> W ramiona rozchylonych dziewcząt.

Piszący te słowa, miłośnik poezji jednego i drugiego twórcy, jest w pewnym kłopocie. Jak to jest z tym słowikiem. Czy „nie śpiewa”, czy „zanosi się” śpiewem? Czy – jak u Staffa – w końcu czerwca „bzu duszne wonie biją zewsząd”? Doświadczenie mówi, że bzy zwykle kwitną koło połowy maja, na imieniny Zofii. Jednak takie nasze „pragmatyczne” wątpliwości – w obliczu prawdy artystycznej – nie mają znaczenia. W świecie poezji wszystko ma prawo bycia i życia. Podziwiamy przecież Kazimierza Wierzyńskiego, który głosi światu pochwałę wiosny:

„Zielono mam w głowie i fiołki w niej kwitną […]”

Poezja doskonale wprowadza nas w upojny i niemal narkotyczny klimat czerwca. Ja – myśląc o tym, co będzie – jestem wyjątkowo rozstrojony. Pamiętam minione lata. Jedne dni znaczone były ciepłem, słońcem i błękitem nieba, drugie falami dojmującego chłodu i wręcz apokaliptycznymi chmurami niosącymi ostre deszcze. Jedne mijały pod znakiem szarzyzny: przy umiarkowanej temperaturze powietrza, to pojawiał się nieśmiało jakiś promyk słońca, to znów odsłaniała się tam nad nami, na górze jakaś inna rzeczywistość. Bywało, że niebo darzyło nas słynnym, siąpiącym najczęściej na Podhalu „kapuśniakiem”.

Widocznie tak już musi być. Może jest to taka natura czerwca, który zamyka wiosnę, a inauguruje sezon letni… Jedno z przysłów ludowych podnosi zmienność pogody jako cechę przyrodzoną tego miesiąca: „Wiatry i ludzie czerwcowi do odmiany wciąż gotowi”; „Czerwiec na maju zwykle się wzoruje, jego pluch, pogody, często naśladuje”; „Gdy czerwiec chłodem i wodą szafuje, to zwykle rok cały popsuje”; „Pełnia czerwcowa – burza gotowa”… Inne przysłowia niepogody tego czasu każą brać za dobrą monetę, gdyż: „Czerwiec mokry, zimny maj, gospodarzom pewny raj” lub „Grzmoty czerwca rozweselają rolnikom serca”. Jeszcze inne niosą nadzieję: „Czerwiec daje dni gorące, kosa brzęczy już na łące’; „Od czerwca dużo zależy, czy żniwa będą jak należy”; „Kiedy kwitnie w czerwcu bób, to

największy wtedy głód, a kiedy mak, to już nie tak”; „W czerwcu grusze kwiat zrzucają, czereśnie się zapalają”.

Czerwiec ma swoje przysłowia. ale ma także swoją poezję sławiącą urok jego długich dni i krótkich nocy wypełnionych po brzegi pulsującym życiem, kreowaniem nowych form istnienia i ich utrwalaniem się w świece. Wspomniany wyżej Kazimierz Wierzyński w wierszu *Czerwiec*, pomieszczonym w tomiku *Korzec maku* (1951) powraca do swojego dawnego, w czas wojny zagubionego, witalizmu, którym przed dziesięcioleciami entuzjastycznie witał wiosnę Niepodległości. Pisze:

> Może nie szukać wróżby w zodiaku
>
> Tylko tuż obok, na długość rąk:
>
> Czerwiec jest wylęgarnią ptaków
>
> I miodosytnią łąk.
>
> *
>
> Na koniczynie, na czwartym listku
>
> Najwyraźniej wypisane to wszystko

> I każda wesoła
>
> Wie o tym pliszka, trawa i pszczoła.

Inny poeta – Mieczysław Jastrun – reprezentant innej już szkoły twórczej i w innym też czasie: *Dzieje nieostygłe* – 1935) w czterozwrotkowym wierszu *Od czerwca* nie mógł się także wyzwolić, bo i nie próbował, z narkotycznych uroków świata w fazie przechodzenia wiosny w lato:

Powraca znowu to widzenie

Zbóż opylonych:

Po kłosach ptak przeleciał cieniem,

Chwieje się mak czerwony,

[…]

W półkolu żółtych słoneczników,

Na alkoholach lata,

Nabijasz mnie na różę dziką.

Na palach i na kwiatach.

Czerwiec – jak powiedziałem – jest znaczony zmienną pogodą, urokiem przyrody, mądrymi przysłowiami i świeżością metafor poświęconych mu wierszy. Pośród przywołanego tu bogactwa nie można w żadnym przypadku zagubić tego, co w planie życia zbiorowego przynosiła nam historia, znacząc nasze tęsknoty i dążenia do godnego, opartego na pełnej podmiotowości bytu krwawym pasmem ofiar. Nie można zapomnieć poległych w latach pięćdziesiątych zarówno w wydarzeniach poznańskich, jak i węgierskich ludzi. Ich twarze na nas patrzą oczekując od nas mądrości, uporu i konsekwencji w procesie wypierania autokracji i totalitaryzmu. Nie można spać upojnym snem, cieszyć się euforycznie z dostatku i w miarę wygodnego życia wówczas, gdy na świecie szerzą się: gwałt, hipokryzja polityczna, egoizm, cynizm. Nie można zamknąć się psychicznie w wieży z kości słoniowej, kiedy lista naszych narodowych „grzechów głównych" jest większa od przysłowiowej „siódemki".

Nie ma innego sposobu na zbiorowe życie, jak dialog, jak próba jednego człowieka zrozumienia drugiego. Wytrwale, cierpliwie, bezustannie. Całkiem humanitarne jest przywracanie pośmiertne czci niesłusznie skazanym, ale prawdziwą cnotą człowieka, jego kategorycznym obowiązkiem, jego powinnością okazuje się robienie wszystkiego, by gwałt, brutalność, przemoc, pomówienie nie były metodami dowodzenia czyichś racji.

W tym, co piszę jest smutek, gorycz, ale i nadzieja. Może od przyrody nauczymy się czegoś. Właśnie zafascynowania życiem, jakie płynie w dynamicznym rytmie czerwcowych dni i nocy.

Na koniec muszę wrócić do księdza Jana Twardowskiego. W naszych kontaktach zwracałem się do Niego to „Księże Rektorze", to znów „Księże Janie". Ubawił się, gdy Mu powiedziałem, iż cieszę się, że „nie jest klechą", lecz prawdziwym duchownym. Chyba najbardziej podobał Mu się zwrot „Księże Janie… z Czarnolasu".

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

Zobacz też:

> Rozkwit poezji w maju

> Kwiecień – bohater literacki

Wieczorne rozmowy z wnukami w trudnym czasie



Okładka książki Kazimierza Brauna

Nakładem Wydawnictwa 3DOM ukazała się w tym roku pozycja, która objaśnia młodemu pokoleniu tradycję i patriotyzm. Kazimierz Braun w publikacji zawarł osobiste rozmowy z wnukami, opowiada im o swoim życiu i życiu członków rodziny, kim byli i jakimi wartościami się kierowali. Autor tłumaczy, na czym polega lojalność, odwaga, miłość, rodzina i poświęcenie. To jest książka nie tylko dla dzieci, dorośli też przeczytają ją z dużym zainteresowaniem. Ważnym przesłaniem książki jest uświadomienie rodzicom, że z dziećmi, nawet tymi bardzo małymi, trzeba rozmawiać, opowiadać, kim byli przodkowie, tłumaczyć trudne sytuacje, bo przecież to dorośli kształtują nowe pokolenie. Zalew zbędnych informacji, którymi atakowany jest młody człowiek, nie da mu oparcia, poczucia własnej tożsamości i swoich korzeni. Rodzice, często zabiegani w pogoni za przyszłością, zmęczeni codziennymi troskami, nie znajdują czasu na długie rozmowy z dziećmi. Dziadkowie są na innym życiowym etapie, więc to oni mogą się zająć edukacją swoich wnuków. Kazimierz Braun jest dramaturgiem, reżyserem teatralnym, pisarzem, a także profesorem i wykładowcą akademickim. Wykładał m.in. na Uniwersytecie Wrocławskim, New York University, Uniwersytecie Kalifornijskim (w Santa Cruz) i przez wiele lat na University at Buffalo. Mimo wielu lat spędzonych na emigracji, ojczyzna i więzi rodzinne są dla niego bardzo ważne. *(Joanna Sokołowska-Gwizdka, red.).*

Kazimierz Braun *(Buffalo)*

PROLOG

Miałem w moim, już długim życiu, Bożą Łaskę, niezmierne szczęście i wielki przywilej opowiadania moim dzieciom i wnukom różnych historii, wspomnień, bajek. Wydobywałem je z własnej pamięci, a także z wyobraźni, z historii rodziny i kraju. Wypłacałem się w ten sposób za te dary jakimi ubogacali mnie kiedyś moi rodzice, Juliusz i Elżbieta z Szymanowskich, a także babcia Henryka Braunowa, która mieszkała latami w naszych domach rodzinnych. Dziadka Karola Brauna nie znałem. Zmarł przed moim narodzeniem. Natomiast dziadek Michał Szymanowski, w którego dworze, w Mokrsku Dolnym nad Nidą, urodziłem się, był najpierw dla małego wnuka dalekim, wyniosłym punktem odniesienia w porządkowaniu dziecinnego świata, ale później, gdy już ograbiony przez tzw. „reformę rolną” ze swego majątku zamieszkał w jednym sublokatorskim pokoju w Kielcach, zapraszał mnie często do siebie i wtedy obdarzał mnie opowiadaniem o życiu, jakie było przed wojną – przed okupacją niemiecką i przed okupacją sowiecką, jak nazywał zaprowadzone w Polsce komunistyczne rządy.

Gdy zeszliśmy się z Zofią Reklewską, to okazało się, że pochodzimy z podobnych okolic. Ja urodziłem się w Kieleckiem, i całe dzieciństwo spędziłem w tamtych stronach, w leśnym domu w Milechowach, a ona, wprawdzie urodziła się w Warszawie, ale

jako dziecko mieszkała w Sandomierskiem, w Mirogonowicach, we dworze swoich rodziców Wincentego i Anny Reklewskiej z Wasiutyńskich, przy czym jej ojciec prawie tuż po jej urodzeniu został zamordowany przez komunistycznych bandytów.

Gdy w naszym życiu małżeńskim otrzymaliśmy dar dzieci, to moje wieczorne opowiadania Monisi, Grzesiowi, Justysi stały się prawie-że niezbędnym rytuałem rytmu rodzinnego dnia, potrzebnym do tego stopnia, że gdy kroił się jakiś mój wyjazd z domu na dłużej (a to zdarzało się – teraz sądzę – zbyt często), to nagrywałem wieczorne opowiadanki na kasetę, a Zosia odtwarzała je wieczorami dzieciom.

Lata mijały, nasze dzieci rosły. Pojawiały się ich dzieci. Siadałem przy łóżeczku małej Ani, potem małej Asi, a potem małej Anielki – córek naszej córki Moniki. Potem takie dobre chwile dane mi było dzielić z córkami naszej córki Justyny – Zosią i Lilką. Z nimi – tak się to ułożyło w naszym życiu rodzinnym – byliśmy blisko, i jesteśmy – od samego ich urodzenia, i nadal, gdy już stają się panienkami. Nadal są okazje do wieczornych, i nie tylko wieczornych, opowiadań.

Jestem wszystkim tym dzieciom niezmiernie wdzięczny, że zechciały mnie obdarzać swoją uwagą, że jakoś przydawałem się im do podciągnięcia pod brodę kołderki, poprawienia poduszeczki, wygładzenia wyobraźni rozbrykanej w ciągu dnia,

przywołania w ich pobliże Anioła Stróża, ale także do wywołania z przeszłości tych, z którymi teraz nie mogą się spotkać, a którzy jednak czuwają nad ich snem.

Ta książeczka powstała z tęsknoty za takimi chwilami także przy łóżeczkach Alka i Helenki, dzieci mego syna Grzegorza i jego żony Aleksandry. Chciałbym, aby przydała się im dwojgu i ich dzieciom, a może i innym rodzicom, i innym dzieciom.

W czasie, w którym piszę te słowa – a jest to straszny i tajemniczy czas zarazy, jedni zowią go epidemią, inni pandemią, a jeszcze inni, po prostu, wojną – dorośli i starsi spędzają, nawet i przymusowo, więcej czasu w domu. Siadają wieczorami przy małych łóżeczkach. A dzieci właśnie w takim czasie bardzo potrzebują – nie rozumiejąc przecież, co się wokół nich dzieje – obecności, ciepła, uwagi i słowa dorosłych.

Mam nadzieję, że te wieczorne rozmowy z moimi wnukami, pozostając w kręgu historii jednej rodziny, zawierają w sobie ziarna, które można zasiać w ogrodach innych rodzin. Próbuję bowiem opowiadać nie tylko o ludziach i zdarzeniach, ale także, bardziej ogólnie, o wierności, odwadze, troskliwości, pracowitości, o bardzo prostym i oczywistym trwaniu przy wierze, wartościach i zasadach, o pielęgnowaniu tradycji. A także, te moje opowiadanki mogą się może przydać, jako swego rodzaju mapa drogowa, która posłuży moim dorosłym

czytelnikom w wyprawach szlakami ich własnej pamięci. (…)



Rzeźba dziadka z wnukiem, fot. Birkenhain z Pixabay

ROZMOWY Z ALKIEM

Dzielny pradziadek Juliusz

Tego wieczora, jak tylko usiadłem przy łóżeczku Alka, powiedziałem od razu:

– Dzisiaj, Alku, opowiem ci o twoim pradziadku. Był ojcem twojego dziadka, to jest moim ojcem. Na imię miał Juliusz. Na drugie imię Henryk. Nazwisko nosił takie same jak ty, jak twój ojciec.

– Ja jestem Aleksander Braun. Aleksander Wincenty Braun – powiedział poważnie Alek. Ja wiem jak się nazywam. Ja to wiem bardzo dobrze.

– A on, twój pradziadek, nazywał się Juliusz Henryk Braun. Pod koniec życia był profesorem, uczył studentów, wiesz, o kimś takim mówi się „nauczyciel akademicki”. Ty masz nauczycielki w przedszkolu. Teraz twoją nauczycielką jest twoja mamusia, prawda? Bo przedszkole zamknięte, więc uczysz się w domu. Zanim został nauczycielem akademickim twój pradziadek był prawnikiem. Takie uzyskał wykształcenie, to znaczy, tego się nauczył, to robił.

– Kim, dziadku, był pradziadek? Prawnikiem?

– Tak, prawnikiem. To znaczy, że znał prawo i pomagał ludziom przestrzegać prawa. Prawo mówi o tym, co wolno, a czego nie wolno. Jak ktoś zrobi coś, czego nie wolno robić, to może być postawiony przed sądem.

– To on był sędzią? – zapytał Alek. – Bo ja wiem, że w sądzie jest

sędzia. I na boisku piłkarskim jest sędzia. Czy on był sędzią piłkarskim?

– On nie był sędzią. Był obrońcą. I nie na boisku, tylko w sądzie.

– Obrońcy to są na boisku – skonstatował autorytatywnie Alek. – Oni grają z tyłu, za nimi jest tylko bramkarz, a z przodu grają napastnicy. Lewandowski!

– W sądzie też są obrońcy – starałem się przekonać małego rozmówcę. – Widzisz, jak jakiś człowiek staje przed sądem, to sądzi go sędzia. Ale jest także jeden taki prawnik, mówi się o nim prokurator, który przedstawia sędziemu winy tego człowieka, oskarża go. A drugi prawnik, który nazywa się adwokat, broni go przed tymi oskarżeniami. Sędzia słucha co mówi oskarżony, co mówi prokurator, co mówi adwokat. A potem wydaje wyrok. Kiedyś będziemy musieli dłużej porozmawiać o sądzeniu, o sądach, o tym, co się nazywa „wymiarem sprawiedliwości." Często, niestety, to jest raczej wymiar niesprawiedliwości. Ale teraz powiem ci tylko, że twój pradziadek był obrońcą, adwokatem. Bronił ludzi w sądach. Pomagał ludziom w ten sposób. Żył długo. Zrobił wiele dobrego. Wiele też wycierpiał.

Gdy to powiedziałem – natychmiast opadły mnie wspomnienia tych strasznych chwil – obrazów: aresztowanie ojca przez gestapowców; aresztowanie ojca przez ubeków; ogłoszenie

wyroku na ojca – właśnie: niesprawiedliwego wyroku – przez komunistyczny sąd wojskowy; widzenia z ojcem w więzieniu. I ten moment, jak cios: siedzimy nad rzeką Wierną po kąpieli w letnie popołudnie. Są rodzice, dzieci, i jest już z nami Zosia, moja młoda żona. Wszyscy jesteśmy w kostiumach kąpielowych. I ona nagle, tak po prostu, pyta ojca, z głębi swojej troski o niego i miłości do niego – nie pamiętam dokładnie jej słów – pyta o zauważone nagle blizny na jego plecach i piersiach. Pamiętam słowa ojca – krótkie, tylko informacyjne, jakby bezosobowe, jakby to nie było o nim: to z ubeckich przesłuchań na Mokotowie.

Nie pozwoliłem jednak swojej myśli kołatać się po tych ciemnych zaułkach. Z wysiłkiem zamknąłem wieko studni pamięci. Powiedziałem tylko:

– Wiele mam ci, Alku, do opowiedzenia o twoim pradziadku. Jak Pan Bóg da to jeszcze znajdzie się na to czas. Dzisiaj opowiem ci jak był żołnierzem.

– Miał karabin? Ja mam pudełko ołowianych żołnierzyków – pochwalił się Alek.

– Miał karabin. Gdy służył jako wartownik. Gdy służył jako kierowca wojskowy to miał pistolet. Bo to było tak, Alku, że za jego życia były dwie wielkie wojny na świecie, w Polsce. I on, twój pradziadek, w czasie pierwszej z tych wojen był za młody,

aby pójść do regularnego wojska, ale chciał walczyć o Polskę, więc zgłosił się jako ochotnik – to znaczy sam tak chciał, choć nie musiał – do harcerskiej służby wartowniczej, bo był harcerzem. I tam dostał karabin. I był żołnierzem. A gdy wybuchła druga wojna, gdy Niemcy napadli na Polskę, to pradziadek był tym razem już za stary, aby otrzymać powołanie do wojska. Ale znów zgłosił się sam, jako ochotnik. Znów chciał walczyć o Polskę. Zgłosił się do wojska ze swoim samochodem. Ponieważ był to dobry samochód, mercedes, więc został oddany do użytku generałowi, dowódcy jednej z polskich armii. I w ten sposób twój pradziadek został kierowcą tego generała. Wtedy otrzymał pistolet.

Polska walczyła z Niemcami przez kilka tygodni. Armia tego generała wykazała się szczególnym bohaterstwem. Ale ostatecznie została otoczona ze wszystkich stron przez przeważające siły niemieckie. Generał, dowódca armii, postanowił się poddać i poddać resztki swych wojsk. To znaczy przestać walczyć, po to, aby uratować życie tych żołnierzy, którzy mu jeszcze pozostali. Wszyscy dostali się do niewoli – wszyscy żołnierze, generał, a także jego kierowca, twój pradziadek.

Niemcy urządzili dla nich wszystkich prowizoryczny obóz jeniecki na jakiejś wielkiej łące. Wyobraź to sobie: wielka łąka, a na niej stoi wiele polskich, wojskowych samochodów osobowych i

ciężarowych rozrzuconych chaotycznie, w tym mercedes twego pradziadka. Na łące kłębią się grupami i pojedynczo polscy oficerowie i żołnierze – bez broni. Bo są jeńcami. Łąka otoczona jest drutem kolczastym umocowanym do świeżo wbitych w ziemię drewnianych palików – tak jakby to było wielkie pastwisko. Tylko, że zamiast bydła są na nim ludzie. Poza drutami, na zewnątrz, rozsiane są gęsto niemieckie posterunki z ciężkimi karabinami maszynowymi wycelowanymi w łąkę, w tych ludzi. Na zewnątrz drutów przechadzają się niemieccy wartownicy. A za nimi, tworząc ogromny pierścień, stoją niemieckie czołgi z lufami także wycelowanymi na tych ludzi. Opowiadałem ci kiedyś, Alku, o czołgach rosyjskich, które podpełzały do naszego zimowego lasu pod koniec tej właśnie wojny. A to, co ci teraz opowiadam, wydarzyło się na jej początku, a czołgi były niemieckie. Sytuacja, zdawałoby się, bez wyjścia. Wszystkich jeńców czekała niewola.

Twój pradziadek był jednym z jeńców. Swój pistolet musiał oddać Niemcom. Ale od samego momentu uwięzienia myślał o ucieczce. O wydostaniu się na wolność. Nie godził się na niewolę. Był człowiekiem przedsiębiorczym, sprytnym i odważnym. Chodząc w ciągu dnia po otoczonej przez Niemców łące, zauważył jakąś większą przerwę między niemieckimi posterunkami i czołgami. Postanowił uciec – wyczołgać się w nocy z obozu jenieckiego. Był kiedyś harcerzem – w harcerstwie nauczył się czołgać.

Wiesz, co to jest czołganie się, prawda, Alku? Szorujesz brzuchem po trawie, po piasku, czy nawet kamieniach, podciągasz się ku przodowi tylko rękami i cały czas uważasz, żeby być jak najbliżej ziemi.

Więc pradziadek czekał w tym miejscu do nocy. Chciał się wyczołgać pod osłoną ciemności. Wszyscy jeńcy poukładali się po prostu na ziemi, żeby się jakoś przespać. Zapadła ciemność. Pradziadek czuwał i już miał rozpocząć swoją próbę ucieczki z obozu, gdy nagle zaryczały motory czołgów stojących dookoła obozu i zapaliły się ich reflektory oświetlając całą łąkę. Były jednak pomiędzy tymi reflektorami smugi cienia. Choć ucieczka w tych warunkach była naprawdę bardzo ryzykowna, pradziadek zaczął się czołgać – najpierw pod drutami kolczastymi, potem między niemieckimi wartownikami, potem między niemieckimi czołgami. Czołgał się bardzo długo. Wreszcie zostawił Niemców za sobą.

W jakichś krzakach zdjął kurtkę munduru i wepchnął ją pod liście. Zachował jednak portfel – wiesz, twój tatuś też ma taki portfel z dokumentami, z pieniędzmi. Pradziadek nie wyrzucił portfela, bo miał w nim dużo pieniędzy i swoje dokumenty, choć złapany przez Niemców, byłby natychmiast zidentyfikowany w oparciu o te dokumenty. Ale i pieniądze, i dokumenty, mogły mu być potrzebne w dalszej drodze ucieczki.

Więc twój pradziadek najpierw długo się czołgał, a potem szedł kilka kilometrów przez las, aż doszedł do jakiejś wsi. Był środek nocy. Zastukał do pierwszego z brzegu domu. Nikt nie chciał mu otworzyć. Szepcząc przez drzwi, przekonał jednak gospodarza, że jest polskim żołnierzem, który uciekł z niemieckiej niewoli i potrzebuje pomocy. Wreszcie drzwi się otwarły. Pradziadek poprosił gospodarza, żeby mu sprzedał spodnie, buty i sweter. Przydały się zachowane pieniądze. Zapłacił hojnie. Przebrał się, zostawiając swoje spodnie wojskowe, które tamten mężczyzna natychmiast spalił w piecu kuchennym.

Pradziadek dopytał się jeszcze tego człowieka o najbliższy kościół parafialny. Poszedł we wskazaną mu stronę. Dotarł pod plebanię o świcie. Przedstawił się księdzu proboszczowi, który przyjął go z wielką troskliwością i serdecznością. Pradziadek zaproponował temu księdzu kupno swego samochodu, który wciąż stał przecież w obozie jeniecki, za drutami – jeśli uda się go wydostać. Ksiądz przyjął propozycję. Ustalili jak to zrobią. Już zaczęli walczyć z Niemcami metodami konspiracyjnymi. Ksiądz da pradziadkowi dokumenty, które powinny zmylić Niemców, a pradziadek pójdzie po swój samochód i wydostanie go z obozu jenieckiego. Ryzykowny plan.

Ksiądz dał więc pradziadkowi, napisany po niemiecku dokument, stwierdzający, że samochód, mercedes, numer rejestracyjny taki i taki, należy do niego, i że stał w miejscu, gdzie wojsko

niemieckie zorganizowało obóz jeniecki, bo akurat tam zabrakło benzyny. To akurat było prawdą – bak mercedesa był pusty. Więc ksiądz prosi w swym liście władze obozu, aby wydały samochód jego kierowcy, który nazywa się tak a tak (nie pamiętam jakie tam podano imię i nazwisko) i zaopatrzył pradziadka dodatkowo w sporządzony na prędce akt chrztu tego niby – kierowcy, jako legitymację tożsamości.

Ksiądz dał mojemu ojcu, a twemu pradziadkowi, dwa konie ze swojej stajni, postronki i orczyki. Pobłogosławił pradziadka na drogę. Pradziadek zostawił księdzu swój portfel – teraz nie mógł go mieć przy sobie. Dał mu także adres swojej żony, z prośbą, aby ksiądz napisał do niej, na wypadek gdyby on sam nie wrócił z wielce ryzykownej wyprawy.

Pradziadek poszedł z końmi do obozu jenieckiego. Daleka droga. Przy bramie pokazał sporządzone przez księdza dokumenty dowódcy warty i wytłumaczył mu po niemiecku, dokładnie, ze szczegółami, tak, aby tamten zrozumiał swym, zapewne tępym umysłem, że przysłał go ksiądz proboszcz po swój samochód, który stoi tu od kilku dni, bo zabrakło benzyny, a potem wojsko niemieckie zorganizowało nagle w tym miejscu obóz jeniecki. Twój pradziadek mówił świetnie po niemiecku, bo urodził się i chodził do szkół pod zaborem Austriackim, a Austriacy mówią po niemiecku. O, i o tym, co to były zabory, też muszę ci, Alku, kiedyś opowiedzieć. Nie teraz. Teraz wracam do opowieści o

twoim pradziadku.

Dowódcę warty przekonuje jego opowieść i okazane dokumenty. Przywołuje wartownika i każe pradziadka wpuścić do obozu.

Pradziadek odszukuje samochód. Zaprzęga konie do przedniego zderzaka. Trzymając lejce w lewej ręce przez opuszczone okienko i prawą kontrolując kierownicę wyjeżdża na obozową drogę. Zbliża się to tej samej budki wartowniczej i tej samej bramy, którą wszedł. Stoi tam ten sam wartownik, który go wpuścił. Macha ręką i twój pradziadek wyjeżdża z obozu ciągnionym przez konie mercedesem! Udało się!

Pradziadek jedzie długo, polną drogą, ku kościołowi. Ksiądz otwiera mu stodołę. On wjeżdża tam, wciąż ciągniętym przez konie, samochodem. Drzwi stodoły zostają zamknięte.

Na plebanii ksiądz proboszcz wypłaca pradziadkowi umówioną sumę za samochód. Była znaczna – stanowiła podstawę życia rodziny przez pierwsze miesiące wojny. Ksiądz daje jeszcze pradziadkowi na dodatek dobre cywilne ubranie. Książeczka wojskowa wędruje do pieca kuchennego. Z plebanii ojciec wychodzi już jako cywil, doktor Juliusz Braun, adwokat. Ma przy sobie swoje stare, polskie dokumenty.

Z tymi dokumentami wrócił z wojny do domu. Nie tylko uciekł z

niewoli, ale i wydostał swój samochód.

Twój pradziadek, Alku, to był wspaniały, dzielny, zaradny odważny człowiek.

Gdy, sam zemocjonowany, kończyłem opowiadać Alkowi o jego dzielnym pradziadku, zobaczyłem, że chłopiec już zasnął. To i dobrze. Po to snułem te opowieści.

Pomyślałem jednak, że może Alek zapamięta choć część tej historii. I kiedyś uświadomi sobie, że wzorem swego pradziadka, powinien szukać wyjścia z każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji, nie poddawać się, a zwłaszcza nie godzić się na jakikolwiek rodzaj niewoli.

Zobacz też:

> „Pamięć”. Wspomnienia Kazimierza Brauna.

> Wielkanoc w mirogonowskim dworze

> Boże Narodzenie w Mirogonowicach

Komunizm na wesoło i inne miniatury

Wilek Markiewicz *(1930-2014)*



Wilek Markiewicz, Toronto, rys. ołówkiem, własność prywatna, obraz podarowany przez Wilka Markiewicza Joannie Sokołowskiej-Gwizdka

Komunizm na wesoło

1. Wszedłem do porządnej knajpy w Warszawie. Paru bywalców stało przy barze. Rozglądam się – gdzie tu obsługa? Ktoś mi odpowiada: – To już nie te czasy! – Więc gdzie mam zamawiać?

Kierują mnie do końca lokalu i tam się dołączyłem do

wyczekującej grupy. W końcu okienko w ścianie się otwiera i ukazuje się duża taca wypełniona kuflami piwa, jak wodą, bez pianki. Widocznie długo stało. Okienko się zamyka i między obecnymi rozpoczyna się walka o szklanki. Jakaś kobieta łapie mnie za przegub ręki, ale utrzymałem szklankę. Było to jedno z najlepszych piw jakie piłem, mimo tak nieapetycznego wyglądu. Postawiłem na tacę pustą szklankę i teraz nastąpiła dla mnie zagadka: komu zapłacić i ile? Ludzie wokół mnie zniknęli, nie miałem kogo zapytać. Stałem i czekałem, w końcu pozostawiłem garść monet na tacy, nie wiedząc, czy to za mało, czy za dużo i wyszedłem z nadzieją, że nikt za mną nie podąża.

2. Usiadłem przy stoliku w samoobsługowej kafeterii. Nie było papierowych serwetek, widocznie nie było na rynku, lecz sumienny menadżer poustawiał na stoliku plik sztywnych kartonów, pokrojonych mniej – więcej na miarę serwetek. Nie było czym czyścić rąk, najwyżej można się było nimi poskrobać.

3. Tego nie sprawdzałem lecz usłyszałem z miarodajnych źródeł: W jakiejś fabryce, otwarta przestrzeń była zastawiona wielkimi drewnianymi pakami. Nie było na nich napisu i zawartość musiała być ciężka, gdyż paki powoli wgłębiały się w miękki grunt. Czas mijał i paki z anonimową zawartością wgłębiały się coraz bardziej, aż praktycznie znikły. W końcu buldożery wyrównały teren żwirem i może do dzisiaj stoją zagrzebane ze swoją tajemniczą zawartością.



Wilek Markiewicz, Madryt

Miłosierdzie

Małe dziewczynki szły w szeregu ulicą na peryferiach Paryża, jednako odziane, najwidoczniej z sierocińca, gdyż były za małe na szkołę. Chodziły dziarsko, jak na ich wiek, gwarząc sobie wesoło. Gdy orszak mnie minął, po chwili zdałem sobie sprawę, że jedna z „dziewczynek” była starą kobietą, karliczką, cofniętą umysłowo! Była najwidoczniej dobrze zintegrowana, ani ona ani dzieci nie zdawały sobie sprawy z różnicy. Pojęcie czasu dla niej

nie istniało. Pogratulowałem w duchu prowadzącym je zakonnicom za serce, inteligencję i subtelność z jaką potrafiły jej osłodzić ostatnie lata życia.

*

Ta historia pochodzi ze szkoły w Madrycie za czasów frankistowskich. Nauczyciel, jezuita (gdyż wtedy szkoły były prowadzone przez duchownych), zapytał dwóch uczniów – braci, jak to jest możliwe, że różnica wieku między nimi wynosi tylko pięć miesięcy. – Czy jest to pomyłka? – Nie, jeden z nas jest zaadoptowany (powiedzieli gwarowo: „przygarnięty”), tylko nie wiemy który! – Nauczyciel wysłał rodzicom listem gratulacje.

*

Na nocnej zmianie, siostra szpitalna o zdeformowanej twarzy, przy wejściu i wyjściu z sali obdarzyła końskim uśmiechem umierającą pacjentkę, która nie mogła tego zauważyć. To było pozdrowienie od bezdennej otchłani do bezdennej otchłani, to była miłość.

*

Dworzak w szpitalu

Gdy przyjechałem do Kanady, pracowałem przez pewien czas w torontońskim szpitalu jako pomocnik pielęgniarski (orderly). My, nowi „orderlies," otrzymaliśmy małą broszurę powiadamiającą nas o naszych obowiązkach, która rozpoczynała się poetyckim zdaniem: „nie jesteś drzewem – bądź krzakiem". Od początku więc wskazano nam nasze miejsce. Byliśmy przeważnie nowoprzybyłymi imigrantami przeróżnej narodowości. Pomocnicy pielęgniarscy i sprzątacze dzielili szatnie w ciemnej, chłodnej suterynie. Jednego ranka, gdy się przebieraliśmy, ktoś zaśpiewał mocnym barytonem fragment „Nowego Świata" Dworzaka. Odśpiewałem, skompletowałem fragment i on zareagował: „rozumiemy się!" Jest powiedzenie francuskie: „na wyżynach, gdzie szybują duchy". W tym wypadku duchy spotkały się „na nizinach".



Wilek Markiewicz, Obrazek paryski

Wiliam Markiewicz, urodzony w Krakowie, ukończył nauki biologiczne na Uniwersytecie w Genewie. Mieszkał w Paryżu i Hiszpanii, a od 1970 roku w Toronto. Redaktor kolumny etnicznej w „Toronto Sun" 1971 – 85. Wydawca i redaktor „Kuriera Polsko-Kanadyjskiego 1972–86. Współpracownik „Canadian Political News & Life" 1988–89. Dziennikarz francuskiego pisma „Voir" w Szwajcarii, oraz „Courier Sud" (Toronto), „Correo Hispano – Americano" (Toronto), „Latino" (Toronto), współpracownik „Głosu Polskiego" i „Związkowca" (Toronto). Jako artysta malarz prezentował swoje prace na

wystawach zbiorowych i indywidualnych m in. w Toronto (w Galerii Laurier na Dundas West, między Islington a Kipling) oraz we Francji, Kanadzie, USA, Wielkiej Brytanii, Włoszech. Zbiór aforyzmów Wiliama Markiewicza „Extracts of Existence" został wydany przez High Park Pages w Toronto. Książkę ilustrował sam autor. Niektóre rozdziały przetłumaczone na język polski ukazywały się w „Nowym Kurierze" w Toronto. W 2004 roku zbiór ten ukazał się w formie książkowej p.t. „Okruchy bytu" wydany przez wydawnictwo „Silcan House". Książka jest również ilustrowana przez autora. Na okładce znajdują się reprodukcje drzeworytów „Maska" i „Ewa". Projekt okładki i stron tytułowych – Zbigniew Stachniak. Wilek Markiewicz zmarł 16 listopada 2014 roku w Toronto, w wieku 84 lat.

Zobacz też:

> Filozof bytu

*

Komunizm na wesoło – dowcipy Ronalda Reagana:

Bob Dylan w przekładzie Adama Lizakowskiego

Cztery *protest songi* przeciwko amerykańskiej polityce



Piosenkarze folkowi Joan Baez i Bob Dylan występują podczas wiecu na rzecz praw obywatelskich, 28 sierpnia 1963 r. w Waszyngtonie,fot. Rowland Scherman, National Archive / Newsmakers, wikimedia commons

*

Z Bogiem po naszej stronie

With God on Our Side

> Moje nazwisko – nic wam powie
>
> Ile mam lat – nieważne

Miejsce z którego pochodzę

Zwą Środkowym Zachodem

Tam się uczyłem tam wychowałem

Praw przestrzegałem

A kraj w którym mieszkam

Ma Boga po swojej stronie.

*

Och, książki historii mówią

Pięknie to mówią

Kawaleria szarżowała

Indianie padli

Kawaleria szarżowała

Indianie umarli

Och, kraj dopiero się rodził

Z Bogiem po jego stronie.

*

Hiszpańsko-amerykańska

Wojna to były czasy

A także wojna domowa

Dawno zapomniana

A imiona bohaterów

Zapamiętywałem w mękach

Walczących z bronią w rękach

I z Bogiem po ich stronie.

*

Pierwsza wojna światowa, chłopcy

Była i się skończyła

Po co tam byliśmy

Za kogo walczyliśmy

Nie rozumiałem ale akceptowałem

Bohaterów nazwiska wkuwałem

O zabitych zapomniałem

Kiedy Bóg jest po twojej stronie.

*

Gdy druga wojna światowa

Się zakończyła

Przebaczyliśmy Niemcom

Byliśmy przyjaciółmi

Chociaż zamordowali sześć milionów

W piecach spalili

Niemcom wybaczali teraz oni też

Mają Boga po ich stronie.

*

Uczyłem się nienawidzić Rosjan

Przez całe swoje życie

Jeśli następna wojna wybuchnie

Z nimi musimy walczyć

Nienawidzić ich i się bać

Chować się i kryć

Dzielnie walczyć i żyć

Z Bogiem po naszej stronie.

*

Ale teraz mamy broń

Chemiczną

Jeśli nas zmuszą to wypalimy

Wypalimy im bo tak musimy

Jedno naciśnięcie guzika

I świat jak długi i szeroki znika

Bez żadnego zapytania

Kiedy Bóg jest po twojej stronie.

*

Przez wiele godzin niepewności

O tym rozmyślałem

Że Jezusa Chrystusa

Pocałunkiem zdradzono

Ale nie mogę myśleć za ciebie

Ty sam musisz zdecydować

Czy całujący Iskariota

Miał boga po swojej stronie.

Więc teraz, odchodzę

Jestem wykończony

Cały zbaraniały

Język tego nie wypowie

Brakuje słów w mojej głowie

Jestem niespokojny

Jeśli Bóg jest po naszej stronie

Nie dopuści do wojny.

Ballada „With God on Our Side” Boba Dylana, została wydana

jako trzeci utwór na jego albumie z 1964 roku „The Times They Are A-Changin”. Dylan po raz pierwszy wykonał piosenkę podczas swojego debiutu w *The Town Hall* w Nowym Jorku 12 kwietnia 1963 roku.

Słowa ballady odnoszą się do przekona Amerykanów, że Bóg niezmiennie stanie po ich stronie i przeciwstawi się tym, z którymi się nie zgadzają, usprawiedliwiając w ten sposób niekwestionowaną moralność wojen i okrucieństw popełnianych przez ich kraj. Dylan, jak historyk, wspomina o kilku wydarzeniach historycznych, w tym o rzezi Indian w XIX wieku, wojnie hiszpańsko-amerykańskiej, wojnie secesyjnej, I i II wojnie światowej, Holokauście, wojnie w Wietnamie oraz Zimnej Wojnie puentując to wszystko zdradą Jezusa Chrystusa przez Judasza Iskariotę.

Można jeszcze dodać, że jak większość utworów Dylana ballada ”With God on Our Side” została skopiowana przez poetę na własny użytek ze źródeł folkowych, ze starych tradycyjnych pieśni w tym przypadku irlandzkich. Wielkie pretensje do poety miał i ma Dominc Behan*, który oskarżył go o plagiat (kradzież) jego utworu pt. „The Patriot Game”, ale jak już zostało powiedziane większość dorobku Dylana jest inspirowana i „zapożyczona” od innych artystów i wykonawców.

*Dominic Behan. (22 października 1928 – 3 sierpnia 1989). Był

irlandzkim autorem tekstów, piosenkarzem, autorem opowiadań, prozaikiem i dramaturgiem, który pisał w języku irlandzkim i angielskim. Był także socjalistą i irlandzkim republikaninem. Dominic Behan był jednym z najbardziej wpływowych irlandzkich autorów piosenek XX wieku.

***

*

Nadchodzi nowe wielkimi krokami

The Times They Are a-Changin'

> Podejdźcie tu ludzie,
>
> Dokądkolwiek zmierzacie
> I przyznajcie, że potopu
>
> Nadszedł już czas
> Pogódźcie się z tym,
>
> Nie było nas – był las, nie będzie nas – będzie las
> A jeśli czas jest
>
> Dla was coś wart,

Bierzcie nogi za pas
Bo pójdziecie na dno jak głaz

Nadchodzi nowe wielkimi krokami.

Podejdźcie pisarze, krytycy

Prorokujący piórem swym
Szeroko otwórzcie oczy

Drugiej nie dostaniecie szansy
Trzymajcie zamknięty dziób

Fortuna wciąż kołem się toczy
Niczego sobie nie przywłaszczycie,

Bo ci co teraz przegrywają
W końcu jednak wygrają,

Nadchodzi nowe wielkimi krokami.

*

Zbliżcie się senatorowie, kongresmani

Proszę wbijcie sobie to głów

Nie wkładajcie swych nóg,

Pomiędzy drzwi a futrynę,
Kto wiatr sieje

Te zbiera burzę

Bitwa już go nie dotyczy

To jest szaleństwo.

Wkrótce zadrżą ściany wypadną

Okna z szybami i ramami

Nadchodzi nowe wielkimi krokami.

*

Podejdźcie matki i ojcowie

Gdziekolwiek jesteście
I nie krytykujcie tego

Co nie mieści się wam w głowie
Wasze córki i synowie

Nie posłuchają się waszych rozkazów
Waszego myślenia

Nadszedł już czas

Zróbcie drogę dla nowego pokolenia
To was przerasta, usuńcie się z drogi, basta.

Nadchodzi nowe wielkimi krokami

*

Linia, została wytoczona

Klątwa, rzucona

Dzisiaj powolny

Jutro rozpędzony

Dzisiaj teraźniejszość

Jutro przeszłość

Stare rozporządzania więdną jak kwiat

> Pierwsi dzisiaj
>
> Będą jutro ostatnimi, tak zmienia się świat
>
> Nadchodzi nowe wielkimi krokami.

Ballada “The Times They Are a-Changin’ została napisana przez Boba Dylana i wydana jako utwór tytułowy jego albumu o tej samej nazwie w 1964 roku. Jak i we wcześniejszych utworach tak i w tym możemy znaleźć ogromny wpływ starych ballad irlandzkich i szkockich.

Niecały miesiąc po tym, jak nagrał balladę, prezydent Kennedy został zamordowany w Dallas w Teksasie, 22 listopada 1963 roku. Następnego dnia rozpoczął koncert tą balladą. Swojemu biografowi Anthony’emu Scaduto powiedział:

> Pomyślałem: „Wow, jak mogę rozpocząć w ten sposób? Będą rzucać we mnie kamieniami ”. Ale musiałem to zaśpiewać, cały mój koncert rozpoczął się od tego utworu. Wiem, że niczego nie rozumiałem. Coś stało się niesamowitego w kraju, a publiczność klaskała. I nie mogłem zrozumieć, dlaczego klaskali, ani dlaczego napisałem tę balladę. Nic nie rozumiałem. Dla mnie to było po prostu szaleństwo.

Dylan napisał balladę tzw. szóstym zmysłem, nie zdając sobie z tego sprawy, że stworzył hymn przemian, które bardzo dramatycznie następowały na początku lat 60. ubiegłego wieku. Wiele lat później powie, że wszystko to, co robił i pisał było zaplanowane, przemyślane, itp., sam sobie zaprzeczał wiele razy, wypierał się tego co wcześniej powiedział.

***

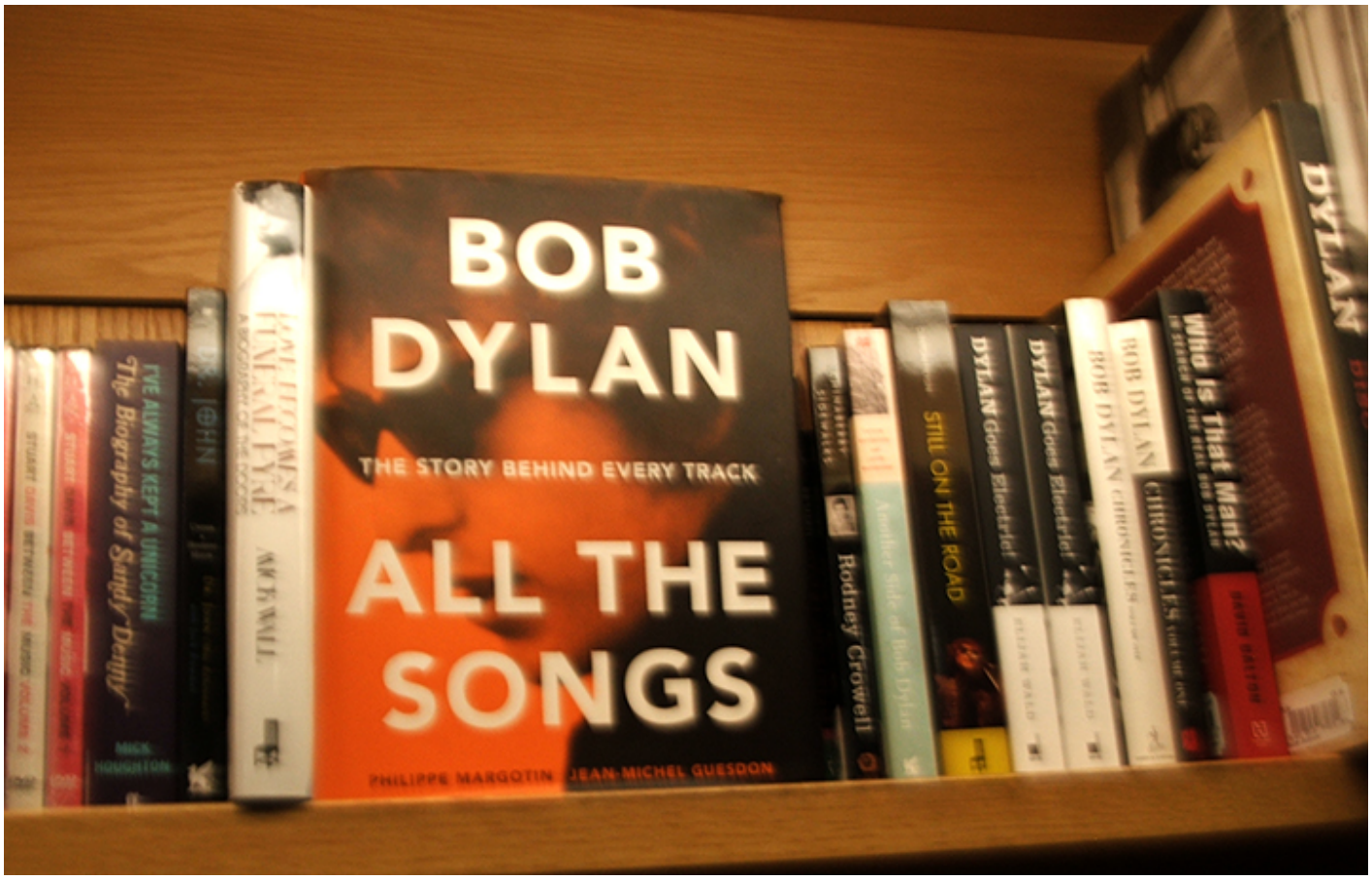

*

Północny blues

North Country Blues

Podejdźcie bliżej przyjaciele

Posłuchajcie tego co opowiem wam

O kopalniach których było wiele

O oknach zabitych gwoździami, tekturami

O mężczyznach wysiadujących ławkami

Opowiem o mieście co straszy pustkami.

*

Na północnym krańcu miasta,

Moich dzieci dorastała gromadka,

Ja wychowałam się po jego drugiej stronie.

We wczesnych mej młodości,

Pochowałam mamy kości,

Brat do siebie mnie wziął.

*

Ruda żelaza się lała,

Lata mijały

Pracy było po łokcie, po pachy,

Aż pewnego dnia mój brat

Nie wrócił do domu z pracy

Spotkała go ta śmierć co taty.

*

Cóż, zima strasznie mi się dłużyła,

Okno było całym mym światem

Miałam miłych przyjaciół, dotrwałam

Do wiosny, poczułam nowy wiatr

Szkoła, nauka mi się znudziła

Górnika Johna Thomasa poślubiłam.

*

Och, tak mijały mi lata,

I dobrze się nam działo,

Było co jeść, było co pić, chciało się żyć.

Na świat przyszły trzy dzieciaki,

Aż pewnego dnia skończyła się robota,

John pracował pół dniówki, zaczęły się głodówki

Wkrótce szyb kopalni zamknęli,

Więcej już pracy nie mieli,

Ogień w powietrzu, zamarzł.

Wtedy przychodzi taki jeden chłopina

I mówi roboty już ni ma

Jedenasty szyb już znikł.

*

Na Wschodzie narzekali,

Że za dużo płacą,*

Mówili kopalnia nie jest warta grosika,

Że można taniej mieć górnika

Że w miastach Południowej Ameryki

Pracują prawie za darmo górniki.

*

Więc bramy górnicze zostały zamknięte,

Żelazo pokryła czerwona rdza

Mieszkanie pachnie wódą, mąż chla.

Gdzie smutna, cicha piosenka

Uczyniła godzinę dwukrotnie dłuższą

A zachód słońca to jedyna radość ma.

*

Wyglądałam przez okno dniami

Gdy on mamrotał pod nosem

Bez słowa pogodziłam się z losem

Aż pewnego ranka

W łóżku nie było kochanka

Zostałam sama z trzema dzieciakami.

*

Lato już się skończyło,

Ziemię skuł mróz

> Sklep po sklepie zamyka się już
>
> Moje dzieci pójdą w świat
>
> Jak skończą osiemnaście lat
>
> Cóż, tutaj nie ma nic do roboty, tylko kłopoty.

*

Objaśnienia

*They complained in the East
They are playing too high

Na Wschodzie narzekali,

Że za dużo płacą

Zarząd kopalń mieścił się na Wschodzie Ameryki, czyli w Nowym Yorku, z biur w tym mieście były podejmowane decyzje, ile płacić górnikom za ich pracę w kopalniach na Środkowym Zachodzie.

Ballada „North Country Blues” Boba Dylana, została wydana na jego trzecim studyjnym albumie *The Times They Are a-Changin’*

w 1964 roku. Wykonał ją również na festiwalu *Newport Folk* w 1963 roku. Wiadomo o czym jest ta ballada, ale są trudności ze zlokalizowaniem miejsca w którym rozgrywa się dramat w utworze. Wiem, że akcja rozgrywa się gdzieś „na północy" to sugeruje sam tytuł i możemy się tylko domyśleć, że być może gdzieś w pobliżu miejsca urodzenia i zamieszkania poety, w pobliżu Hibbing.

Dopiero w czwartej zwrotce słuchacz ballady dowie się, że jej narratorem jest kobieta, która właściwie straciła wszystko w swoim życiu co było jej bliskie i co kochała; matkę, ojca, brata, męża, oraz dzieci, które wygonione przez nędzę i głód wyjadą za chlebem w „wielki świat". Kopalnia, górnicze miasteczko, umarła tak samo jak ludzie, wszystko stało się przeszłością, w której zamieszkały duchy.

***

*

Porozmawiajmy o Johnie Birch Paranoidalnym Bluesie

Talkin' John Birch Paranoid Blues

> Cóż, czułem się smutny, czułem się przygnieciony,
>
> Za nic w świecie nie wiedziałem co mam zrobić.

Komuniści byli wszędzie z każdej strony

W powietrzu,

Na ziemi,

W każdym miejscu i urzędzie, oszalałem.

*

Więc pobiegłem do nich co w nogach sił

I wstąpiłem do partii Johna Birchrema.

Dali mi tajną legitymacje

Odnalazłem swoją drogę teraz będę żył.

Juhu!!!, Juhu!!! jestem prawdziwym Johnem Birchremem!

Strzeżcie się komuchy!

*

Obecnie wszyscy się zgadzamy się z poglądami Hitlera,

Chociaż zabił sześć milionów Żydów.

Nie ma znaczenia, że był faszystą,

Przynajmniej nie można powiedzieć, że był komunistą!

Mówią; kowal zawinił Cygana powiesili.

*

No cóż, szukam wszędzie, tych przeklętych czerwonych.

Wstałem rano patrzyłem pod łóżko,

Spojrzałem do zlewu, za drzwi,

Spojrzałem w schowku w samochodzie.

Nie mogłem ich znaleźć. . .

*

Patrzyłem w górę, patrzyłem w dół wszędzie szukałem czerwonych,

Patrzyłem pod umywalką, pod krzesłem

Spojrzałem w górę do dziury komina,

Spojrzałem nawet głęboko w moją muszlę klozetową.

Uciekli. . .

*

Cóż, siedziałem w domu, biły ze mnie siódme poty,

Znalazłem ich w swoim telewizorze

Zerknąłem za obraz w monitorze

Doznałem szoku od stóp do głowy.

Czerwoni to spowodowali!

Wiem, to ich wina… . . twardogłowych.

*

Cóż, rzuciłem pracę w grupie, aby pracować sam,

Zmieniłem nazwisko na Sherlock Holmes.

Z mojej torby detektywa co chwilę coś się wydobywa,

Odkryłem, czerwone paski na amerykańskiej fladze!

Tak, to robota Bety Ross. . .

*

Przejrzałem wszystkie książki w bibliotece,

Dziewięćdziesiąt procent z nich to będzie popiół .

Sprawdziłem wszystkich znanych mi ludzi,

Dziewięćdziesiąt osiem procent z nich musi odejść.

Pozostałe dwa procent to członkowie Birchery. . . tak jak ja.

*

Teraz Eisenhower, jest rosyjskim szpiegiem,

Lincoln, Jefferson i ten Roosevelt gość.

Według mnie jest tylko jeden człowiek,

> To naprawdę prawdziwy Amerykanin: George Lincoln Rockwell.
>
> Wiem, że nie znosi komuchów, ponieważ pikietował film „Exodus”.
>
> *
>
> W końcu doszedłem do wniosku
>
> Gdy zabrakło rzeczy do śledzenia.
>
> Nie mogłem sobie wyobrazić nic lepszego
>
> Niż siedzeniu w domu i analizowanie siebie samego!
>
> Mam nadzieję, że niczego się nie doszukam, hm, wielkie Boże!

„Talkin’ John Birch Paranoid Blues”, to satyryczny *protest song* (ballada bluesowa) napisany przez Boba Dylana w 1962 roku, w której paranoiczny narrator jest przekonany, że komuniści lub „czerwoni”, jak ich nazywa, infiltrują kraj. Dołącza do antykomunistycznej grupy *John Birch Society* i wszędzie zaczyna szukać Czerwonych. Narrator potępia Betsy Ross, (twórczyni

amerykańskiej flagi) jako komunistkę i czterech prezydentów USA jako rosyjskich szpiegów. Sympatyzuje z Adolfem Hitlerem i George'm Lincolnem Rockwellem, bo ci chociaż faszyści, to nie komuniści. Po wyczerpaniu możliwości śledzenia wszystkich i każdego, po znalezieniu wszystkich komunistów, narrator utworu zaczyna badać siebie.

Świdnica, maj 2021 r.

*

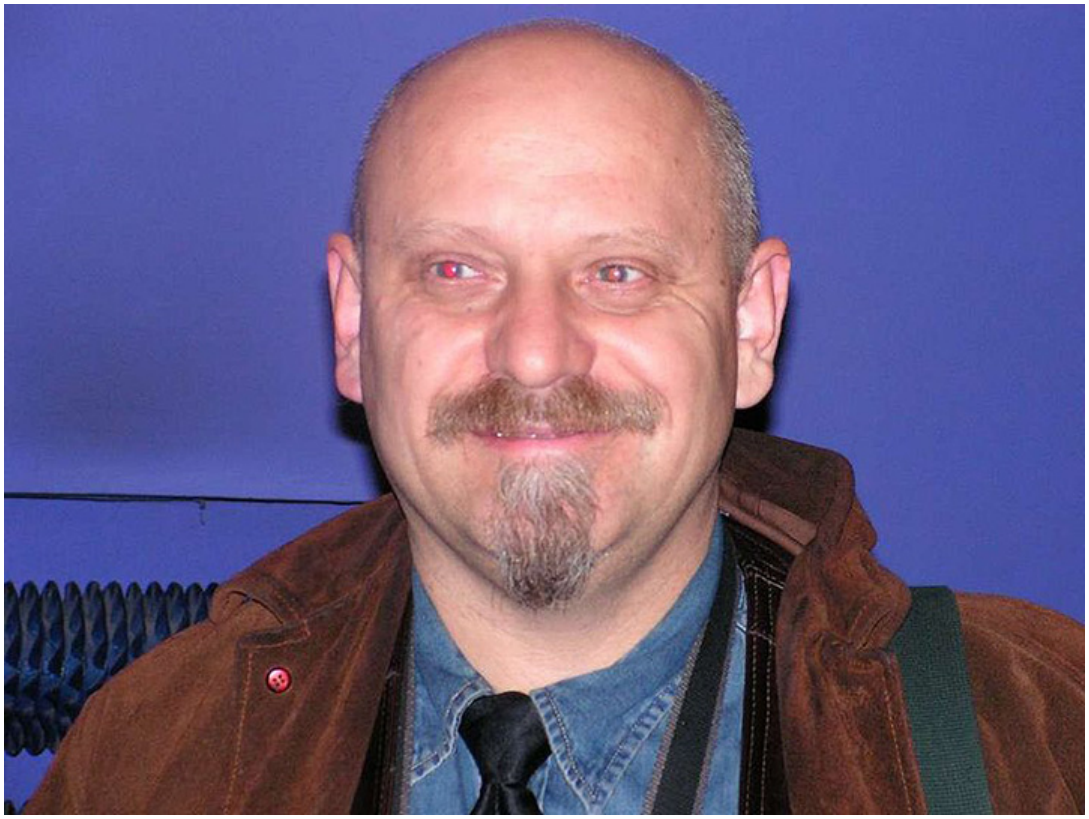

Adam Lizakowski, poeta, tłumacz, fot. wikimedia commons

Źródła;

- Wszystkie ballady pochodzą z książki pt. *Bob Dylan Lyrics.*

1962-1985. Includes All of Writings and Drawing. Published by Knopf Doubleday Publishing Group. NY. NY. 1985, USA.

- *Bob Dylan by Anthony Scaduto*. Wydawnictwo Grosset 4 Dunlap. ISBN 0-448-02034-3. New York. 1971.